

Grygorowicz Wojciech

Marsz kartonowych ludzików

Z „*Science Fiction*”

Ci, którzy próbowali skleić kiedyś papierowy model, zapewne wiedzą, ile to kosztuje. Nie. Nie chodzi o cenę. Kartonowe zestawy do sklejania są stosunkowo tanie. Najdroższy, jaki kiedykolwiek widziałem, nie kosztował więcej niż obiad dla dwu osób w całkiem przeciętnej knajpce. Nie trzeba też jakichś specjalnych narzędzi. Ostre nożyczki, skalpel lub ucięta żyłetka, peseta, papier ścierny lub niewielki pilniczek, szpikulec lub zwykła igła. Klejów natomiast przyda się co najmniej kilka. Butapren do spoin sprężystych, cyjanopren do nasączenia kartonu, by stał się twardy jak blacha, rzadki wikol do wypełnienia szczelin między segmentami i szybko schnący hermol służący do klejenia małych części. By jednak wycinankę skończyć, trzeba olbrzymiej cierpliwości i doświadczenia. Ileż ja już widziałem niedokończonych modeli, przykrytych grubą warstwą kurzu na najwyższej półce szafy! Byłem też świadkiem, jak początkujący modelarze w przypływie wściekłości walili pięścią w na pół skończony model. Zdenerwowanie i pośpiech bowiem to najgorsze, co może się przy tej pracy przytrafić. Gdy jednak po wielu dniach pracy z płaskiego kartonu zacznie wyłaniać się przestrzenny kształt, gdy po wielu tygodniach lub miesiącach zakończycie robotę i spojrzycie na gotowy model, doznacie uczucia nieporównywalnego z niczym innym. Modelarz, i to niezależnie od wieku, nad skończonym dziełem poczuje się jak wielki konstruktor, ba, będzie prawie jak Stwórca pod koniec szóstego dnia tworzenia. To właśnie dlatego kartonowi modelarze tak niechętnie sprzedają swoje prace. Włożony w nie trud, pot, który wsiąkł w karton, czy nawet pozostały między częściami naskórek powodują, że sprzedając mają wrażenie, że pozbywają się kawałka siebie. Ktoś zapyta, dlaczego podobnych wątpliwości nie mają malarze, rzeźbiarze czy inni artyści, których praca w opinii większości bardziej podpada pod sztukę? Nie znam odpowiedzi. Może ma to związek z tym, że w przypadku modelarzy jest to hobby, a nie zawód. A może coś jeszcze bardziej nieuchwytnego i mistycznego...

Macieja znałem od pierwszej klasy liceum. Gdy po raz pierwszy przyszedłem do jego mieszkania, doznałem olśnienia. Dziesiątki zwisających spod sufitu kartonowych modeli naprawdę zrobiły na mnie wrażenie. Od tego czasu, gdy chciałem pożyczyć jakąś książkę czy odpisać zeszyt po chorobie, zawsze szedłem do Macieja. To nic, że mieszkał znacznie dalej niż inni koledzy z klasy. Nie chodziło zresztą tylko o modele. Maciej był bowiem prawdziwą encyklopedią wiedzy o militariach, a gdy chodziło o sprawy związane z pierwszą i drugą wojną światową, nie miał sobie równych. Choć znał się na każdym rodzaju uzbrojenia, sklejał wyłącznie modele samolotów i to tylko te, które brały udział w ostatnim światowym konflikcie. Wszystkie były wykonane w skali 1:33. Dzięki temu obserwując kolekcję można było porównać ich rzeczywiste wielkości. Wyjątek od wymienionych zasad stanowiły, o ile pamiętam, makiety: galeonu (chyba „Wodnika”) i polskiego czołgu TP-7. Zazwyczaj ludzie z tej branży strasznie się boją, gdy ktoś dotyka ich dzieł. Tak samo jak rodzice denerwują się, gdy obca osoba bierze na kolana ich pociechę. Dla Macieja byłem jednak modelarzem, choć może niespecjalnie doświadczonym, gdyż w swoim życiu nie wykonałem do końca nawet dziesięciu modeli. Mimo wszystko kimś, kto zna proces twórczy i będzie uważał biorąc samolot do ręki. Mogłem więc bez przeszkód podziwiać wszystkie sklejanek z kolekcji. Zarówno te wcześniejsze, gdzie widać było jeszcze niedoróbki i niedoświadczoną rękę, jak i te, które były istnymi cackami z kartonu. Potem skończyliśmy liceum. Może jeszcze ze dwa razy odwiedziłem Macieja, ale w końcu nasze drogi się rozeszły. Dopiero po wielu latach i to całkiem przypadkowo spotkałem go ponownie. Wyglądał na pierwszy rzut oka mizernie, ale było to tylko wrażenie. Zawsze udaje mi się dostrzec, ukryte pod pozorami, prawdziwe nastawienie człowieka do życia. Nawet gdy stara się maskować swe niepowodzenia. Nawet jeżeli ubrany jest bez zarzutu, a na palcu ma złoty sygnet, potrafię wykryć kryjącą się pod pozorami frustrację i lęk. Z Maciejem było dokładnie odwrotnie. Wyglądał jak półtora nieszczęścia, ale jego oczy płonęły jakimś dziwnym, natchnionym blaskiem. Po przywitaniu i z konieczności skrótowej wymianie wiadomości z tych lat, kiedyśmy się nie widzieli, zapytałem o jego dawne hobby. Wzrok rozjaśnił mu się jeszcze bardziej, a na blade do tej pory policzki wystąpił rumieniec.

- Z samolotami skończyłem - odpowiedział. - Ale modele robię dalej.

- Żaglowce? - zapytałem. Wydawało mi się bowiem, że tylko one mogą być bardziej romantyczne od samolotów. Maciej jednak przecząco pokręcił głową.

- Jeśli kiedyś do mnie wpadniesz, to pokażę ci, co teraz kleję - odpowiedział.

Nie wytrzymałem oczywiście długo i jeszcze w tym samym tygodniu poszedłem pod wskazany adres. Jako osoba wchodząca pomału w starokawalerski wiek, nie jestem specjalnie wrażliwy na nieporządek w mieszkaniu. Jeden kolega za każdym razem, kiedy mnie odwiedza, mówi, że większego syfu niż u mnie nie widział nigdy dotąd. Gdyby jednak zobaczył mieszkanie Macieja, musiałby przyznać, że w dziedzinie nieporządku nie osiągnąłem jeszcze szczytu.

Kurz był chyba we wszystkich kątach. Nie jakieś drobne warstewki, które można wykryć dopiero, gdy po podłodze przejedzie się palcem, ale prawdziwy kurz, taki co zbija się w charakterystyczne, podobne do kawałków wełny kłaczkę.

W kuchni, do której zajrzałem przez przypadek, piętrzyły się stosy brudnych naczyń, a szyby nie były myte chyba od dobrych kilku lat. Od razu zwróciłem uwagę na samoloty. Zwisały z sufitu całymi eskadrami. Było ich znacznie więcej, niż zapamiętałem z licealnych czasów. Tym razem ustawione tematycznie. Bliżej ściany wisiała kolekcja przedstawiająca wrzesień 1939 roku. Nie brakowało tam chyba niczego. Wisiały nawet modele myśliwca P-24 i lekkiego bombowca Sum, które - o ile mnie pamięć nie myli - na wrześniowym niebie pojawiły się tylko w jednym egzemplarzu. Był też model dwupłatowej czechosłowackiej Avii, samolotu, który potem z namalowanymi szachownicami udawał polskie myśliwce w niemieckich filmach propagandowych. Nieco z boku wisiało kilka modeli ozdobionych czerwonymi gwiazdami, ale tylko tych, którym dane było pojawić się na naszym niebie po 17 września. Bliżej okna znajdowała się druga część kolekcji. Były tu maszyny walczące w wojnie na Pacyfiku. Królował olbrzymi, mający grubo ponad metr rozpiętości model superfortecy B-29. W tej części były już pewne braki. Wprawdzie strona amerykańska wydawała się całkiem kompletna, jednakże wśród maszyn z symbolami wschodzącego słońca nawet ja dostrzegłem brak kilku znanych typów samolotów. Korytarz wypełniała trzecia, największa część zbioru. Były tu wszystkie inne modele, które nie pasowały do dwóch wcześniejszych tematów. Pośród nich zwracał uwagę duży, choć nie tak wielki jak B-29, model najśłynniejszego brytyjskiego nocnego bombowca typu „Lancaster”. Oprócz niego i innych angielskich samolotów było tu kilka modeli włoskich maszyn, dwie francuskich, model rumuńskiego myśliwca IAR-81 oraz pozostałe radzieckie i niemieckie samoloty. Zainteresowały mnie zwłaszcza te modele, których nie widziałem wcześniej. Prawdziwe arcydzieła. Wykonane absolutnie perfekcyjnie; dokładnie i z całym mnóstwem szczegółów. Gdy brałem je w ręce, miałem wrażenie, że trzymam jakiś fabrycznie zrobiony model lub pomniejszony trzydziści trzy razy prawdziwy samolot z drugiej wojny światowej. Nagle, podczas oglądania kolejnego dzieła, duża ilość dawno nie sprzątanego kurzu sprawiła, że kichnąłem. Trzymany delikatnie model wyleciał mi z palców i uderzył o podłogę.

Zamarłem z przerażenia. Miałem wrażenie, że upuściłem nie kartonową wycinankę, lecz co najmniej chińską wagę z czasów dynastii Ming. Maciej, o dziwo, nie podzielił mego zdenerwowania. Flegmatycznie podniósł nie uszkodzony na szczęście model i powiesił go na miejscu pod sufitem.

- Uważaj na ręce, stary pijaku - powiedział głosem, w którym jednak nie było ani zdenerwowania, ani wymówki. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, ale on uśmiechnął się tylko.

- Mówiłem, że samoloty już mnie nie interesują. Jeśli chcesz któryś, to możesz go zabrać.

- Stary! - przerwałem mu gwałtownie. - Te modele możesz opylić za całkiem niezłą kasę. Niejeden dziany snob by chciał, żeby coś takiego wisiało mu nad biurkiem!

Maciej przecząco pokręcił głową. I chyba go rozumiałem. Samoloty już go nie interesowały, ale w każdym z nich został kawałek jego duszy, a czy duszę można powierzyć byle komu...?

- Chciałeś zobaczyć, czym zajmuję się teraz - zagadnął, a ja przytaknąłem ochoczo. Strasznie byłem ciekaw, dlaczego Maciej porzucił coś, w czym osiągnął takie mistrzostwo. On tymczasem wyjął z kieszeni spodni klucz i otworzył drugi z pokoi swego mieszkania. Wnętrze mniejszego pomieszczenia zajmował prawie w całości wielki modelarski stół. Na nim stał istny arsenał narzędzi. Zestaw taki bardziej pasowałby do warsztatu neurochirurga niż do modelarskiej pracowni. Najmniejsze z przyborów były tak niewielkie, że można było nimi operować tylko za pomocą sporej lupy lub binokularu. Pośrodku stołu stało niewielkie kartonowe pudełko, służące zapewne jako ochrona przed wszechobecnym kurzem. Trzeba jednak przyznać, że w porównaniu z resztą mieszkania, tutaj panował prawie wzorowy porządek. Gdy podziwiałem niezwykły zestaw narzędzi, Maciej podniósł kartonowy futerał i zobaczyłem to o... Pod pokrowcem stała jeszcze szklana gablotka, a w środku... mała figurka człowieczka. Była naprawdę niewielka, na oko nieco ponad pięć centymetrów wzrostu. Jednakże, gdy popatrzyłem na nią, zupełnie odruchowo sięgnąłem po leżącą na biurku lupę. Dokładność, z jaką została zrobiona, była wprost niewiarygodna. Wyraźnie odcinały się nawet rysy twarzy.

- To papier? - zapytałem cichym głosem, jakby bojąc się, że figurka obudzi się z letargu.
- Papier - przytaknął Maciej. - Ale najwyższej jakości i wyjątkowo cienki.
- Zrobiłeś ją z części? - zdziwiłem się, przyglądając się dalej modelowi. - Przecież ten sam albo nawet lepszy efekt mogłeś uzyskać rzeźbiąc.

Wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się pobłaźliwie, jakbym powiedział jakąś oczywistą głupotę.

- Dlaczego zrobiłem z części? - powtórzył moje pytanie. - Przyjdź za jakieś dwa, może trzy miesiące. Gdy zobaczysz efekt końcowy, zrozumiesz, czemu wykorzystałem tę, a nie inną technikę.

Po czym Maciej niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, że dobrze by było, gdybym sobie poszedł. Mimo że raczej urągało to zasadom dobrego wychowania, jakoś nie miałem do niego pretensji. Wiedziałem, że prawdziwym artystom wybacza się bardzo wiele. Co więcej, obiecałem Sobie, że po trzech miesiącach przyjdę zobaczyć postępy w pracy. Oczekałem nawet trochę więcej. Jakby domyślając się, że im dłużej wytrzymam, tym bardziej niezwykłą rzecz zobaczę. Tak też po trzech miesiącach i kilku dniach ponownie zapukałem do mieszkania kolegi. Otworzył mi po dość długiej chwili i gestem zaprosił do środka. Jeśli poprzednim razem wyglądał jak półtora nieszczęścia, to teraz zdawał się trzema nieszczęściami. Jednakże jego oczy płonęły tym samym natchnionym blaskiem, który przez ostatnie miesiące przybrał na sile. Obejrzałem jeszcze raz samoloty, zdjąłem z żyłki jeden czy drugi model. Oczywiście nie po to tu przyszedłem, samoloty jednak były czymś w rodzaju przystawki przed głównym daniem. Były jak oczyszczający obrządek przed głównym misterium, przedsionkiem do świątyni. Tak więc podziwiałem niewiarygodną dokładność i bogactwo szczegółów i czekałem, aż zostaną zaproszony do obejrzenia właściwego dzieła.

- Dobra - usłyszałem wreszcie głos Macieja. - Daj spokój tej chałturze i zobacz, co zrobiłem.

Nie dałem się dwa razy prosić, odłożyłem model i wszedłem za nim do pokoju. Papierowy ludzik spoczywał w tym samym miejscu co poprzednio. Po dokładnym obejrzeniu go przez lupę pytająco spojrzałem na gospodarza. Figurka nie różniła się bowiem niczym od tej, - którą widziałem ostatnio. Kolega jednak jak gdyby tylko na to czekał.

- Spójrz teraz - powiedział. Ponownie odwróciłem głowę i prawie krzyknąłem ze zdziwienia. Ludzik ożył. Rozwarł powieki, pod którymi zabłysły ledwie dostrzegalne źrenice. Popatrzył na mnie kartonowymi oczyma, a na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Otworzył usta, jakby chciał o coś zapytać. Następnie podniósł papierową nogę i niepewnie zrobił krok naprzód. Potem znieruchomiał. Zastygł, jakby nigdy się nie ruszał. Przez moment wszystko, co zobaczyłem, potraktowałem jako przywidzenie. Jednakże rozpromieniona chuda twarz Macieja, na w pół otwarte usta modelu i wystawiona do przodu noga świadczyły o tym, że ludzik poruszył się naprawdę.

- Jak to zrobiłeś? - zapytałem.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie rzeźbię, lecz sklejam z elementów. - Maciej chyba nie usłyszał mojego pytania.

Taka konstrukcja umożliwia ludzikowi poruszanie, gesty, a nawet mimikę twarzy.

- Ale jak to zrobiłeś? - przerwałem mu. - W środku jest jakiś silniczek. Prawda?

- Silniczek? - Na twarzy Macieja po raz kolejny pojawił się pobłaźliwy uśmiech. - Mój drogi, ta figurka nie waży nawet ćwierci grama. Zarwałaby się pod ciężarem najlżejszego nawet silniczka.

- A więc jak się porusza?

- Wyjaśnię ci, ale... później. I tak byś mi teraz nie uwierzył. Jeszcze nie teraz. Ale przyjdź za pięć miesięcy. Pokonałem już większość problemów i teraz dalsza robota pójdzie mi jak z płatka. Mam jednak do ciebie prośbę... - Maciej przerwał na chwilę, po czym jakby z zakłopotaniem poprosił: - Pożycz mi trochę kasy.

Dałem mu całą gotówkę, jaką miałem w portfelu, a mimo to zaraz potem Maciej bez żadnych ceregieli wywalił mnie z mieszkania. A ja znów nie miałem o to żalu.

Wytrzymałem prawie pół roku, a po tym okresie zjawiłem się w mieszkaniu po raz trzeci, słusznie przypuszczając, że tym razem doświadczę czegoś naprawdę niezwykłego. Człowiek, który otworzył mi drzwi, ledwo trzymał się na nogach. Zdawało się, że jeszcze trochę, a wyłoży się na podłogę.

Raz nawet wyciągnąłem rękę, by go podtrzymać, on jednak z gniewem w płonących po dawnemu oczach, odtrącił moje ramię.

- Podpierać mnie jeszcze nie trzeba - burknął i otworzył drzwi do pokoju modelarskiego, zapraszając do środka. Tak też, tym razem bez zwrócenia uwagi na wiszące modele, ruszyłem za gospodarzem. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że tym razem na modelarskim stole stoją dwa kartonowe futerały.

- Gdy podniosę szklany klosz, nie mów nic. Najlepiej będzie, jeśli założysz to - powiedział Maciej i wręczył mi chirurgiczną maseczkę na usta. Zawiązałem ją bez dyskusji, lekko drżącymi z podniecenia rękami, po czym podszedłem do stołu. A wtedy kolega zdjął kartonowy klosz. Tak jak poprzednio w

środku stał znany mi już papierowy ludzik. Tym razem jednak ożył prawie natychmiast. Podniósł do góry głowę, odetchnął i zaczął przechadzać się po swoim szklanym mieszkaniu. Ruchy miał skoordynowane i płynne. Obserwując go miałem wrażenie, że oglądam miniaturowy hologram przedstawiający żywego człowieka. Zdawało mi się, że pod papierową powłoką modelu grają poruszające figurką mięśnie. Tak, papierowy człowieczek był ludzki aż do bólu, a ja jak urzeczony patrzyłem w milczeniu na chodzącą małą postać. Jednakże najciekawsze dopiero mnie czekało. W pewnym momencie Maciej zdjął drugi z pokrowców.

I wtedy zobaczyłem ją.

Doskonała, to chyba jedyne określenie, jakie znajduję, by ją opisać. Może się to wydać śmieszne, ale żadna z kobiet, które widziałem nago, nie zrobiła na mnie większego wrażenia niż ta figurka. Stała początkowo nieruchomo, ale potem poruszyła się, jakby obudzona z głębokiego snu. Jeśli sposób poruszania ludzika z pierwszej gabloty nazwałbym ludzkim, tutaj trzeba użyć przymiotnika kobiecy. Nie, to nie jest żaden szowinizm. Ona poruszała się jeszcze ładniej. Naturalnie, ale jednocześnie z gracją, jakiej pozazdrościć mogłaby jej niejedna baletnica. A potem Maciej zdjął szklane klosze. Mimo chroniącej moje usta maski, zamarłem, bojąc się nawet oddychać. Nie ze strachu, że pęd powietrza uszkodzi zwiewne figurki. Bałem się, że mój oddech zakłóci rozpoczęty właśnie rytuał. Tymczasem dwie papierowe istoty niczym już nie rozdzielone zbliżyły się na wyciągnięcie ramion, a potem przytuliły się do siebie. To, co obserwowałem później ani trochę nie przypominało filmu porno, ba, nie było nawet erotyką. Był to akt idealny. Ruchy figurek były płynne i perfekcyjne. Gdy się je obserwowało, nie czuło się ani podniecenia, ani zawstydenia. Miałem wrażenie, że oglądam balet stworzony przez jakiegoś genialnego choreografa. Więcej. Miałem pewność, że oto jestem świadkiem twórczego misterium. Wydarzenia, które musi znaleźć swoje miejsce w historii ludzkości i świata. Gdy papierowe ludziki skończyły, gdy Maciej na powrót przykrył je szklanymi kloszami i kartonową osłoną, stwierdziłem, że mam łzy w oczach. Na twarzy kolegi jednak nie dostrzegłem śladów wzruszenia. On jakby zrozumiał moje pytające spojrzenie, pokiwał tylko głową i rzekł:

- Gdy zrobiły to po raz pierwszy, też płakałem, ale teraz...

- Więc to nie był ich pierwszy raz. - Poczułem się strasznie zawiedziony.

- Chyba nie sądzisz, że czekałbym z tym specjalnie na ciebie. I tak jesteś jedyną osobą, której to pokazałem - powiedział chłodno Maciej, a ja musiałem przyznać mu rację.

- Wyjawisz mi teraz zasadę, dzięki której one się poruszają? - zapytałem.

- Nie domyślasz się jeszcze?

Domyślałem się, choć przychodząca na myśl odpowiedź była tak nieprawdopodobna, że nie wypowiedziałem jej na głos.

- Ludziki porusza siła życiowa. Moja siła. Są częścią mnie. Nie materialnie oczywiście, gdyż fizycznie są z papieru, ale duchowo...

- Dałeś im część swojej duszy? Przecież to... - zacząłem i nie potrafiłem skończyć. Bzdura, niedorzeczność, niemożliwość, paranoja, bluźnierstwo

Wszystkie te słowa przychodziły mi kolejno do głowy i każde z nich odrzucałem jako nieodpowiednie. Podświadomie czułem jednak, że to, co powiedział Maciej, jest prawdą. Nie skończyłem więc zdania, a potem jak zwykle ponaglony przez kolegę opuściłem mieszkanie, które od tego momentu stało się dla mnie czymś pośrednim między pracownią genialnego wynalazcy a świątynią. Tym razem nie umówiłem się na kolejną wizytę. Być może przeczuwałem, że to moje ostatnie spotkanie z Maciejem.

Kilka tygodni później zostałem przesłuchany przez policję. Byłem przecież według słów sąsiadów jedyną osobą, która w ostatnich miesiącach odwiedzała mieszkanie denata. Od razu zorientowałem się, że przesłuchującym mnie policjantom chodzi głównie o narkotyki. Dziesiątki razy powtarzały się te same pytania, na które odpowiadałem w niezmienny sposób. Mówiłem w zasadzie prawdę, choć oczywiście pominąłem szczegóły, w które i tak by nie uwierzyli, a oni ciągle wracali do tych nudnych narkotyków. Gdy ich o to poprosiłem, pokazali mi zdjęcia Macieja takim, jakim go znaleźli. I przyznam, że gdy je obejrzałem, zrobiło mi się słabo. Wyglądał niczym mumia. Miałem wrażenie, że oglądam człowieka, którego coś, a może ktoś wyssał. Może nawet nie wyssał, a zużył zostawiając tylko to, czego nie dało się już wykorzystać. Potem zabrali mnie do jego mieszkania. Miałem stwierdzić, czy od ostatniego mojego pobytu nic tam nie zginęło. Nie mogłem za bardzo pomóc. Odwiedzając Macieja zwracałem przecież uwagę tylko na samoloty i na kartonowe ludziki. Powiedziałem więc, że z wiszących modeli nie brakuje na oko żadnego, a warsztat modelarski w małym pokoju jest nietknięty. Potem zapytałem, czy mogę podnieść kartonowe osłony chroniące szklane klosze. Zgodzili się. Uniosłem więc pokrowce, jakby świadom, że pod nimi odnajdę zagadkę śmierci przyjaciela. Ludziki były, ale jakże odmienione. Nie stały już w pionowych pozycjach, lecz leżały. Pomyślałem wtedy, że stworzyłem wieka trumien, gdzie

spoczywają niedawno zmarli ludzie. Skojarzenie z martwym rozkładającym się ciałem było aż nadto oczywiste, choć nie było żadnej pleśni, zielonego koloru, wijących się robaków ani trupiego zapachu.

Ludziki wyglądały jakby skleiono je jakimś wyjątkowo podłej jakości klejem. Spoina nie wytrzymała próby czasu. Kilkanaście drobnych części leżało już luzem, a następnych kilkadziesiąt trzymało się „na słowo honoru”. Potęgowało to wrażenie, że ciało ludzika spuchło w jakimś pośmiertnym obrzęku.

Szybkim ruchem opuściłem na powrót kartonowe osłony, a na pytanie, czy wszystko jest tutaj w porządku, twierdząco skinąłem głową.

Potem, gdy policjanci dali mi wreszcie spokój, zastanawiałem się długo, co mogło zabić Macieja i zniszczyć papierowe ludziki. Jedno rzecz było dla mnie oczywiste. Kartonowe figurki były częścią mego kolegi. Logiczne więc, że wraz z jego śmiercią przestały istnieć i one. Co jednak zabiło ich stwórcę? W pierwszej kolejności pomyślałem, że pracując nad swym dziełem doprowadził do skrajnego wyczerpania swój organizm. To oczywiście było prawdopodobne, ale w tym niezwykłym zdarzeniu taka odpowiedź wydała mi się za oczywista, zbyt banalna. Niczym nawiedzony kabalista szukałem potem wytłumaczenia w skali, w jakiej zostały wykonane ludziki - 1:33. Tak, wiem, że jest to skala, w której zazwyczaj wykonuje się kartonowe modele samolotów. Trójca jednak zawsze kojarzyła mi się z Bogiem. Przyszło mi nawet do głowy, że tworząc ludziki Maciej mógł złamać jakieś obowiązujące w naturze tabu. Może przywilej dzielenia się swą istotą z powołanymi przez się do życia jest właściwy tylko Stwórcy? Mój kolega natomiast czyniąc to popełnił bluźnierstwo i musiał ponieść karę. Z jakiegoś powodu odrzuciłem jednak i tę koncepcję. Musiał go zabić żal, że dzieło jego rąk i umysłu, celulozowi Adam i Ewa mimo pozorów życia są bezpłodni, a wielki zamysł, uczynienia z kartonu nowego stworzenia zawalił się w gruzy.

Dziś jednak jestem zdania, że zrobione przez Macieja ludziki żyły naprawdę i jak wszystkie inne żywe istoty były zdolne do rozmnażania. Ich twórca niestety musiał podzielić się swoją duszą najpierw z jednym, a potem z dwoma bytami. Zapewne już wtedy niebezpiecznie zbliżył się do punktu krytycznego. Granica została zaś przekroczona, gdy ludziki dokonawszy prokreacji, same wytworzyły trzecią istotę. A może się mylę... Może powód był zupełnie inny. Jedno wszakże jest dla mnie pewne. Maciej nie był pierwszym człowiekiem, który wbrew rozsądkowi, niczym Faust, rzucił wyzwanie naturze... i poniósł za to najwyższą karę.

Wojciech Jerzy Grygorowicz